

Plastyk i poeta — Aleksander Kobzdej i Tadeusz Rożewicz — spędzili lato na wędrownym po południowej części Polski. Rezultatem tej artystycznej ekspedycji będzie książka, w której poezja spłatać się będzie z interesującą całością z grafiką. Teki Kobzdeja (a znamy jego świetne rysunki z Wietnamu) solidnie zgrubiała w czasie podróży.

Artystę pasjonują przede wszystkim ludzie naszej wsi. Rysuje ich, ciekając się bogactwem typów, starając się wydobyc w pełni siłę wyrazu. Doskonale rysunki Kobzdeja techną ciepłem, odzwierciedlającym stosunek artysty do człowieka. Widać to w każdym szczególe — czy to będzie portret wiejskiej naburmuszonej dziewczynki czy twarz starego doświadczanego chłopca; czujemy ciepło i serdeczność artysty do ludzi, kiedy oglądamy pełną poezji głowę Marysi z Biecha (obok).



BIAŁA ŁASKA

Leszek Prorok

pewno: tu przejście, tam naroznik; tyle domów zwartych, tyle przerw między nimi, które szumią otwartą przestrzenią. Szumią, kochani, szumią. Może nie dla was, lecz szumią na pewno. Każdy płot, każdy słup ma swoją mowę, swój własny odgłos, możecie mi wierzyć. Tylko żelazny — to mruk zakamieniały. Milczy nieżywy, nie zdradza się łatwo. Można weni nieraz stuknąć nosem. Drewniany bliżej jakiś, cieplejszy. Wiadomo, jeśli słup — i on żył kiedyś, jeśli pień — żyje jeszcze ciągle. Więcej mamy wspólnego. Bije od niego coś, co zawsze odczujesz. I cóż to być może? A czy ja wiem, moi złoci. Wiem tylko, że się nigdy nie zmylił. Przed słupem czy pniem skreślę zawsze w bok, choćby mnie nawet w porę liście plotkarskim szmerem nie ostrzegły.

O, nie myślcie, że się lekam słupów czy latarni, ja, Szymon Myślik, stolicie dyplomowany, najlepszy znawca słupów na całej dzielnicy. Każdy kółek wam tutaj wyliczę, wskaże każdą nową łaskę na chodniku.

Uczyłem się miasta jak sztabak — po kawałku; wykulałem jego kształt pytając ciągle Agnieszki lub przewodników. Pytałem o każdy dom i o każdą bocznice, aż wryły się w umysł na dobre. Nasze to już miasto po tych pięciu latach. Nasze wspólne.

A jak jest ładne... Mogę to potwierdzić z pełnym przekonaniem, chociażem go na oczy nie widział. Ładne jest, ładne, równe i czyste. Ulice główne proste, o jakich marzy każdy z nas, życiowe i szczerze, nie nie tają, obrysowane wyraźnie krajeznikami. Nie w nich obłudy innych miast, których chodniki są jak spróchniałe zęby. Naciśnij nieostrożnie chorą płytę — w stu miejscach zaboli.

Umiałbym wam narysować nasze miasto. Rozpostarło się na ziemi jak ogromny liść, pościły mnóstwem grubszych i cieńszych żyłek.

Lubię place, grające szumem wielkich, morskich konch. Lu-

bie szemrzące szpalery zieleni wzdłuż chodników. A ileż wielkich i pięknych wystaw w śródmieściu. Ciekawi was, skąd mogą to wiedzieć. Otóż widzę! Oczywiście widzę dziesiątkiem nowych oczu, które rozbiegły się po całym cieple, tkwią jak u ślimaka w czulkach ręki, czy na okuciu Małgośki, a choćby i w obcasie.

Nie żartuję, słowo honoru! Gdy obcas obić podkówką, wtedy ciekawe rzeczy powie nam przysmer kroku, towarzyszu, którego istnienia nie podejrzewacie. Inaczej zagra, gdy mijasz wielką lustrzaną szybę, inaczej przy wnece bramy. Latem o bramie powie ci nadto policzek, chwytając fale chłodu. Czyżby dla was powietrze ulic stanowiło jednostajność tak zwykłą, że się je dostrzega dopiero, gdy synpie kurzem w oczy? Wiem, wiem. Uwagę waszą ludzi i usypia przezroczystość. Dla mnie krajobraz ulicznego powietrza utkany jest nawet w bezwietrzną porę z fal ciepła i chłodu, jak wzorzysty pasiak łowicki, com je wi-



dywał dawno temu — przed laty.

Zadziwiał wszystkich tą wiedzą Zenek Stojan. Idąc z innym ociemniałym lubił przystanąć przed większą wystawą i rzucić głośno dla żartu: patrz, kapelusze! A wycelowal, bestia, zawsze w sam środek okna. Tak zdumiewał widzających, że nie zwracali uwagi na resztę. Tymczasem za szybą leżał drób czy mydła.

Zenek żartował, omylił się natomiast haniebnie Władek Trzciniński, ten, co stracił wzrok na wojnie. Wlazł kiedyś do

apteki i z uporem żądał chleba. Biedaczysko! Okrutny musiał być katar, którym się przed nami zawstydzony tłumaczył.

Oto i przystanek. Właśnie ruszył tramwaj. Na pewno trójka. Solidne nowe wozy. Jadą ciężko, ale nie chrzęszczą tak jak wysłużone trzynastki.

A może skrócić w bok. Uliczka cicha, spokojna, doprowadzi do pola koło stadionu. Na polu

choć nieraz wpadło się w rów, w pokrzywy, czy na płoty. Powiada raz teściowa, bo u teściów wtedy mieszkaliśmy: Przyprowadź, Szymek, kozy z łączki! Pasą się nad torem, trawa tam najbujniejsza. — Ucieczyłem się nawet. Człowiek przecież już się rwał, żeby znowu coś robić.

Mieli teściowie cztery wielkie grzmoty. Pasły się na łańcuchach, a że same szły do ręki, zebrałem je łatwo. Idziemy drożką, a kózki skaczą dokoła. Anim spostrzegł, jak mnie powijały łańcuchkami. Dopiero jak za plecami świsnęła nagle lokomotywa, kozy w cztery strony, a ja bęc w krzaki. Leże i wypłatać się nie mogę. Po ciąg przejechał. Ludzie z osady patrzy, że kozy w ziemniakach, a mnie nie ma. Zły byłem, ale śmiałem się z innymi. Taki kawał chłopca i dał się powalić głupim kozom. Oj, Szymonie, Szymonie, nieboraku! Od tej pory nie dotknę kozy, już mnie tam nikt nie namówi.

Tak tu swobodnie, że mogę pomachać laseczką. Wystarczy, jak stuknę Małgośką o kilka kroków. Jeszcze kawałek do ulicy Wojskowej, a potem długi odcinek wzdłuż murowanych płotów. Myślicie może, iż trudno to spamiętać. Ejże! Tylko gapiom. Kto uczył się na pamięć jakiejś sonaty, zrozumie z łatwością. Czyż tu nie to samo? Tam też równo i składnie płyną takt. Wiesz z góry, za którym akordem skreca się w inną tonację, jak mijać przeszkody krzyżyków i bemoli. Melodia prowadzi cię naprzód,

a każdy fałsz jest jak potknięcie w wyboju.

Gadula ze mnie bez miary — przyznacie. Myśli płyną jak górski potok. Tak mnie rozgrzało słońeczko, że gawędziłbym bez końca.

O czym to ja przed chwilą... Aha, o ulicach. A ludzie, ludzie... Jakież to ciekawe czytać w ludzkich głosach. Choćby i teraz — tam jakiś opryskliwy nerwus burczy na żonę, że więcej się za wolno. A przede mną przekomarza się parka zakochanych. Dziewczyna klaska jak ta wilga. Po drugiej stronie ulicy dziecko rozbezczało się głupiej matce. Głupiej, bo straszny je milicjantem.

Mam ja — trzeba wam wiedzieć — swoje znaki przydrożne wśród głosów ulicznych. Ot, choćby kiosk z gazetami. Sprzedawca, też inwalida, gawędzi z klientami, którzy piją piwo. Zawsze o tej samej godzinie zmienia go żona. Rankiem wzdłuż płotów stoją stragany z warzywem. Baby pieklą się przy sąłacie i rzodkiewkach, jak na Łysej Górze. Ot, i moje latarnie morskie w ciemności. A jaka rozrywka przy tym!

Widzę, że doszedł już do rogu Matejki. Ależ tak, na pewno! Ażurowy płot żelazny na podmurówce. Skrzyżowanie tu wiele niebezpieczne, auto grozi ci z czterech stron. Posłucham chwilę, jak się przedstawia sytuacja. Nikt akurat nie idzie, muszę się sam zorientować. Hm? Cóż to? Ach tak! Dziub!, dziub!, dziub! — o asfalt. Mogę iść spokojnie. Skoro wróble siadły na jezdni i spokojnie ćwierkają, skoro młóca sobie jakieś ziarnko, czy rozrzucają nawóz koński, nie niewidomemu nie grozi. Nim furkną przed czymś na drzewo, będą już po drugiej stronie. A wy pewno nie zwróciliście uwagi na stadko dziarskich kowalików?

Znowu uliczka i oto apteka wonieje gmach wojskowego szpitala. Leciutko, lecz czuję. Musieli wiele okien otworzyć. Chodnik tutaj szeroki jak na placach. Przyjemnie się idzie, choć mam z tego zakątka niemiłe wspomnienie. A raczej różne wspomnienia, są niemiłe, są też jaśniejsze, ale to już dużo później. Cały łańcuch wspomnień. Nie mówię nic o tym Agnieszce. Przejechałaby się na pewno. Może by fuknęła, jak to ona, szorstko, bo z życzliwością: — Z tobą tak zawsze; i po co sam łazisz? A ja myślę sobie, czegoż się złościć, kiedy wszystko się dobrze skończyło. A zresztą, to już stare, przebrzmiałe dzieje.

Było to zaraz za szpitalem, przy Śniadeckich. Zazwyczaj rower na asfalcie dosłyszysz. Sy-czy oponami jak rozłożony wąż. Ale wtedy na Grunwaldzkiej ruszył traktor. Nie wiecie, co to kłopot traktora dla niewidomych. Naraz cały świat ginie. Zostaje tylko łoskot, warkot i szum. Nic się w tym nie polapiesz. Podobnie bywa, gdy dmie silny wiatr, gdy się deszcz rozpada. Ociemniały o najlepszej orientacji staje się beznadziejny jak sowa w słońcu. O właśnie, dobrzmiewa rzeki. Każda sowa musi mieć swoją noc.

(Drugą część opowiadania zamieścimy w następnym numerze)

Dylemat profesora Hilla

nie uwzględnia trzeciej możliwości

...Zawsze pewien odłam ludzkości będzie zmuszony żyć w warunkach, które — bez względu na nazwę — nie będą się różnić od niewolnictwa... Zawsze będzie na świecie pewna grupa ludności bliska śmierci głodowej i trzeba będzie zrewidować doktrynę o świętości życia jednostki... Jeżeli ludzie chcą mnożyć się jak króliki, to trzeba im pozwolić umierać jak królikom... Na świecie jest za dużo ludzi na to, aby jego ograniczone zasoby mogły im zapewnić wysoką stopę życiową... Tymczasem medycyna współczesna, opierając ciągle jeszcze swą etykę na wątpliwych wypowiedziach pewnego ignorantą sprzed dwóch tysięcy lat — nadal uważa za swój obowiązek utrzymywać przy życiu jak największą liczbę... Świat padnie ofiarą strasznej katastrofy, jeżeli ludność takich krajów jak Indie, Chiny oraz Ameryka Łacińska wzrastać będzie w obecnym tempie.

Dość! Cóż to są za cytaty? Fragmenty „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, czy też któreś z prostactkich tyrad Benito Mussoliniego? A może jednego z pomniejszych przedstawicieli hitlerofaszyzmu?

Nie. Wszystkie przytoczone wyżej zdania pochodzą z prac uczonych, współczesnych socjologów anglosaskich, którzy zaliczają się do tzw. szkoły neomaltuzjańskiej. Dwaj z nich są Anglikami — Sir Charles Darwin i profesor A. V. Hill, trzeci William Vogt jest Amerykaninem. Wiadomości o ich teoriach czerpiemy z pisma „Science and Society”.

Pamiętam wywody wielkiego Tomasza Roberta Malthusa. Twierdził on, że ludzkości nie można udoskonalić. Przyrost ludności jest zawsze

i wszędzie hamowany przez nędzę i występkę, które wynikają bezpośrednio lub pośrednio z niedostatecznego zaopatrzenia w żywność. Dzieje się tak na skutek stałego działania praw przyrody: środki utrzymania (żywność) wzrastają w postępie arytmetycznym, natomiast przyrost ludności — o ile się go nie hamuje — w postępie geometrycznym.

Teoria Malthusa została przyjęta z dużym uznaniem przez wyższe klasy społeczeństwa angielskiego. Z jednej strony bowiem wybielała ona kapitalizm, z drugiej podrywała zaufanie i chęć do jakichkolwiek reform. Jeżeli ubóstwo jest wynikiem „naturalnego” prawa działającego bez względu na ustrój — mówiono — to nie można winić za nie kapita-

lizmu. Jeżeli nędza, która dotyka część społeczeństwa, jest złem tak głęboko zakorzenionym, iż żaden wysiłek pomysłowości ludzkiej nie tu pomóc nie może — to znaczy, że nie warto podejmować zmian w strukturze społecznej, nawet tych najbardziej radykalniejszych. Prosta konsekwencja takiego rozumowania były dalsze twierdzenia Malthusa: biedni nie mają prawa, aby domagać się pomocy, ubóstwo musi być uznane za hańbę. Praktycznym owocem tej nieludzkiej „filozofii” był wprowadzony w Anglii system domów pracy, który zapędził do przymusowej roboty zubożałych drobnych rzemieślników i robotników rolnych.

Grzech przeciw nauce

Marks i Engels po prostu wykpił teorię Malthusa, nazywając ją „grzechem przeciwko nauce”. Malthus ma na swój sposób rację — pisał Engels — twierdząc, że na świecie istnieje zawsze pewna część zbytecznej ludności. Nie ma on tylko racji, kiedy twierdzi, że istnieje więcej ludzi, niż ich można wyżywić istniejącymi środkami żywności. Masowa nędza klasy robotniczej, to zjawisko rzeczywiste, które trzeba wyjaśnić. Ale do tego nie trzeba żadnego „wiecznego prawa” naturalnego o postępie geometrycznym i arytmetycznym. Zjawisko to można wytuma-

czyć należycie w zupełnie inny sposób.

Aby zrozumieć przyczynę „względnej przełudnienia” w warunkach kapitalizmu, trzeba poznać wpływ akumulacji kapitału na los klasy pracującej. W miarę postępu akumulacji, wartość środków produkcji (kapitał stały) wykazuje tendencję do wzrostu w stosunku do łącznej sumy płac (kapitał zmiennej). Akumulacja kapitału odbywa się jednocześnie ze względny zmniejszaniem się zmiennej części kapitału. To jest płac. Toteż popyt na pracę spada i to w stosunku przyspieszonym. „Wytwarzając tedy akumulację kapitału — pisał Marks — ludność robotnicza wytwarza środki, które ją samą czynią stosunkowo nadmierną. Jest to prawo ludności właściwe kapitalistycznemu sposobowi produkcji. Natomiast abstrakcyjne prawo zaludnienia a la Malthus istnieje tylko wśród roślin i zwierząt, aż do historycznego momentu ingerencji człowieka”.

Prawo malejącej urodzajności gleby spotkało się z drugą odprawą ze strony Lenina, który dowiódł, że dalszy jego zastosowanie względnie i warunkowo tylko w tym wypadku, gdyby technika uprawy roli pozostawała bez zmian. Lecz sposoby produkcji rolnej ulegają wybitnym przeobraże-

(Ciąg dalszy na str. 2)

Niech wróć w swej krasie...

Przeciw „krakowszczyźnie” i „góral-szczyźnie” — Szamotulski-poznański — Jak autentyzm to autentyzm! — Kłopoty etnografa — O co właściwie chodzi? — Niemniej piękne drobiazgi.

Niesłusznie jedynie strój krakowski do tego czasu był pasowany na reprezentacyjny polski strój ludowy. Krakow-

Ze starych szpargałów

Z pomysłu pacholka

Jedna z anegdot wielkopolskich mówi o powstaniu nazw 3 starych południowych naszych miasteczek. Według niej pan na Koźminie, Rawiczu i innych włościach, gdy zabójczy fundamenty pod 3 nowe miasta, nie wiedział, jak je nazwać. Z kłopotu uwolnił go pacholek, który towarzyszył mu w drodze, zawołał na leniwego konia:

— Wio, kobylińo! Jak ci dam przez dupino, to ci będzie jutro-sino.

I tak miały powstać nazwy: KOBYLIN, JUTROSIN i DUPIN, który później dla przyzwyczajenia przezwano DUBINEM.

Przepis na miłość

Panna Konstancja Kalkaniściańska chciała koniecznie wyjść za mąż. Kochanek, który był owczarkiem, porzucił ją, przepadł. Za radą Anny Szuklarkowej i wiedzą matki schwytała kota, wpuściła go do nowego garnka, nakryła miską, wstawiła na ogień i poczęła smażyć. „Jak kotowi dokuczał ów upał, tak owczarekowi miała dokuczać tęsknota i jako za wrzaskiem owym kota dla bólu czynionym, miał przybyć jej ukochany”.

Nie pomogło to jednak. Kochanek nie wrócił.

Sąd rajców m. Gostynia dowiedział się o tym od sąsiadki Kalkaniściańskiej i nie mając żadnego zrozumienia dla „tęsknoty” panny Konstancji, wydał wyrok, na mocy którego wszystkie trzy kobiety ożwienczone i wypędzone z miasta. Było to w roku 1721.

Nareszcie sprawa jasna!

Wielu z nas nie wie, dlaczego kobiety nosiły przezwężone zawsze nakrycie na głowie, a mężczyźni czynili to o wiele rzadziej. Powie o tym uczonej jezuita z XVII wieku.

„Gdy głowa jest nakryta, dziurki, które porami zowią, otwierają ciepło i wychodzą dymy i białogłowy zaś mają zimniejszą i wilgotniejszą głowę niż mężczyźni i dlatego, aby dymy odchodziły i tak się mózg czyścił, mają przestrzegać, aby pory otwarte były...”

skie — to przecież nie cała Polska! A że niemniej piękne stroje mają i inne regiony, przekonało nas „Mazowsze” — przepychem kolorów spódnice mieniących się na estradzie i dodających jeszcze więcej uroku pieśniom i tańcom. A przypomnieć tu trzeba stroje: mazurskie, śląskie, wielkopolskie, pomorskie, lubelskie. Iż to naszych wielkopolskich matek dla oryginalności ubiera swoje pociechy po krakowsku, chociaż równie ładnie byłoby dziecku w szamotulskim lub biskupińskim stroju! Nie chcecie wierzyć? Proszę w którąś niedzielę leć lotnią zaglądnąć do Krobi lub Domachowa w powiecie gostyńskim. Jak kwiaty czaro-dziejskie, w wysokich czepkach suną po drodze małe i duże biskupianki. Albo nie po duże się strój szamotulski lub podkaliski?

Na niejednej eliminacji zespołów świetlicowych widzieliśmy wiele strojów nie mających nic wspólnego z określeniem „ludowy”, raczej tylko — z pomysłowością kierowników zespołów. Niektóre zaś ze spóły Poznania na przykład wystąpiły w strojach... góral-skich. A spodziewać się należało, że przed naszymi oczyma znajdą się w ubiorach mieszczan poznańskich z czasów szlacheckiej Rzeczypospolitej.

Jeżeli występuję tu przeciwko „krakowszczyźnie” i „góral-szczyźnie” w świetlicach naszego województwa to po to, by rehabilitować nasze dawne stroje ludowe, wielkopolskie

wie swoich badań nad tym strojem dla Atlasu Polskich Strójów Ludowych twierdzi, że dawniej występował on na obszarze o kształcie serca, przy czym „serce” to miałyby w górnych częściach powiaty: szamotulski i gnieźnieński, a w dolnej powiat śremski. Można więc przyjąć, że strój szamotulski był dominującym kiedyś strojem województwa poznańskiego.

Odtworzenie takiego stroju nie jest łatwe. Nie lada kłopot ma etnograf spółdzielni „Regionalna” mgr Zofia Grabowska, której obowiązkiem jest zdobyć tu i ówdzie zachowane stroje autentycznych lub szkiców czy rysunków i przygotować wzorów krawieckich. Przy tym nie może pominąć pozornych drobiazgów, na przykład trzykrotnego stebnowania mankietów u koszul. Jak autentyzm to autentyzm. Zarząd spółdzielni chętnie by wprowadził pewne uproszczenia w stroju, ale etnograf „wierna tu trzyma straż”.

— O wiele więcej niż ze strojem szamotulskim (bo tu już znalazłam wzory w pracy mgr. Adama Glapy) mam pracy z odtworzeniem stroju mazowieckiego — wilanowskiego — mówi mgr Grabowska. — Trzeba było udać się do Muzeum Kultury Ludowych w Warszawie, gdzie nad rysunkami ścierałam cały tydzień.

Niemniej trudności przysporzy strój lubuski. P. Gra-



Wielkopolska - Biskupianka spod Krobi, powiat Gostyń, w stroju ludowym.

bowska będzie musiała posiedzieć w terenie, wydobyć co się da i z resztek ocalałych szpargałów wzory krawieckie dla „Regionalnej”.

Po stroju lubuskim przyjdzie kolej na strój dzierzdzki czyli biskupiński, kujawski a dalej — na krajeński, boro-wiacki, leśniacki, pałucki, łęczycki.

Jak widać z samego wyliczenia jest sporo tych wielkopolskich strojów ludowych, każdy o innym charakterze, każdy piękny. Nie wróć one do życia codziennego ze względu na swoją niepraktyczność, ale mają pełne prawo do reprezentacji naszej ludowości na scenie domu kultury czy to w Siedliszku pod Trzcianką czy w Jerce pod Kościanem.

I nie tylko o to chodzi. Na drugim zdjęciu widzimy szwacki haftujące wzory przeniesione z czepcy wielkopolskiej na tiul firankowy. Iż w tym rysunku finezji, delikatności Te firanki każdemu pokojowi dodadzą uroku i skości. Dalej — grupa młodych pracownic dekoruje po ludowemu modne liliane woreczki damskie. Pasują do każdej letniej sukienki. A może te sandały są brzydkie? Nie drogie — 54 zł para, a przy tym zgrabne, elegancie...

Są to na ogół rzeczy nieznane. Warto, by wróciły do naszych mieszkań i świetlic w swojej krasie.

J. P.

Dylemat profesora Hilla

nie uwzględnić trzeciej możliwości

(Dokończenie ze str. 1)

niom, a technika rolna postępuje szybko naprzód. Ostatnie odkrycia, a szczególnie zastosowanie energii atomowej dla celów rolnictwa (zmiany klimatyczne, nawadnianie, uradoktywnianie gleby itp.) w pełni potwierdziły słowa Lenina.

Zdawałoby się, że dziś żaden poważny myśliciel nie odważy się odrzucać starych i zdyskryminowanych pomysłów Malthusa. A jednak! W pierwszych latach swego istnienia teoria Malthusa służyła jej wyznawcom do wyjaśnienia niedzy robotników w poszczególnych krajach kapitalistycznych. Dziś służy do wyjaśnienia niedzy krajów „przeludnionych”, jak Indie, Chiny i Ameryka Łacińska.

Anglicy są odpowiedzialni

W książce „The Next Million Years” — Następny milion lat — sir Charles Darwin kreśli pomurę proroczą na temat przyszłości świata, którą widzi w ciemnych, neomaltuzjańskich barwach. Zakłada on, że człowiek zachowuje się i będzie się zachowywał jak dzikie zwierzę i że żadna zmiana instytucji społecznych nie zdoła wpłynąć na jego postępowanie. „Czy światu wychodzi na korzyść — pyta Darwin, — że pozwala się wielu zdrowym ludziom umierać z głodu, zamiast dać im umrzeć na malarie?” To samo pytanie zadał profesor Hill we wrześniu 1952 roku. Bojele on nad olbrzymim sukcesem, jaki przyniosło praktyczne stosowanie medycyny i higieny. „Jeżeli zasady etyki — powiedział Hill — nie pozwalają nam czynić źle, nawet wówczas gdy chcemy w wyniku osiągnąć dobro, to czy mamy prawo postępować dobrze, kiedy następstwem tego jest zło?” Trzeci neomaltuzjanista, Amerykanin William Vogt, jest tak samo opętany myślą o groźącej katastrofie, jak obaj pisarze angielscy. Twierdzi on, że wiele milionów ludzi znajduje się na skraju przepaści. Oto co Vogt pisze na przykład o Indiach: „Anglicy są w znacznej mierze odpowiedzialni za obecną sytuację w Indiach, gdzie tyle milionów ludności zagrożonych

jest klęską głodu”. Jest to o-biecujący początek. Istotnie — Anglicy krepowali i wykoszali-wali przez długi czas gospo-darkę Indii po to, aby dawała maksymalne zyski zainwesto-wanemu tam kapitałowi bry-tyjskiemu oraz hamowali u-przemysłowanie tego kraju. Nowoczesne metody techniczne były tam stosowane, ale tylko przy uprawie roślin przemy-słowych (na przykład bawełny), gdyż był w tym interes Angli-ków. Ale uprawy roślin spo-żywczych, konsumowanych na miejscu, odbywały się syste-mem zacofanym. Jednakże Vogt ma co innego na myśli, mówiąc o odpowiedzialności Anglików. Jemu chodzi o to, że zbyt roz-winięto dobrodziejstwa medy-cyny, kanalizacji, nawadniań itp. Oto pretensje amerykań-skiego uczonego! Jest rzeczą oczywistą, że niedza istnieje w Indiach (i gdzie indziej) nie dlatego, iż kraj ma za dużo ludzi, a głebsza jest wyjątkowa. Praw-dziwe przyczyny leżą w niedo-statecznym wykorzystaniu za-sobów kraju, tak naturalnych jak i ludzkich oraz w ujem-nych skutkach systemu kolo-nialnego.

Trzecia możliwość

Co kryje się za wywodami neomaltuzjanistów?

Neomaltuzjanizm jest przede wszystkim uzasadnieniem agresywnych planów wojennych imperialistów. Usiłuje on dowieść konieczności wyniszczenia wielu milionów tak zwanych zbędnych ludzi po to, aby zlikwidować w ten sposób rzekome przeludnienie świata. Ale my wiemy dobrze, że możliwości dalszego rozwoju rolnictwa są dalekie od wyczerpania. Z 50 procent ziemi na naszym globie, która nadaje się do uprawy, wykorzystujemy dziś za-ledwie 10 procent. Prawdziwe przeszkody na drodze ludzkości do bogactwa i dobrobytu są natury społecznej i ekono-micznej, nie mają charakteru demograficznego. Obecne trudności Europy na przykład nie dadzą się rozwiązać bez reform społecznych i gospodarczych. Europa musi wyzwo-lić się spod zależności od Stanów Zjednoczonych, rzucić ciężar zbrojeń i uzdrowić handel zagraniczny przez nawiązanie stosunków handlowych z Euro-pą wschodnią, Chinami i wy-zwolonymi koloniami. Dylemat profesora Hilla — zrewidować doktrynę świętości życia, czy mnożyć zło przez stosowanie zdobyczy nauki? — nie uwzględ-nia trzeciej możliwości: zlikwidowania imperializmu!

*

W świecie socjalizmu nauka będzie w pełni wykorzysty-wana na użytek ludzkości. Nowy ustrój eliminuje kapitalistyczny na eksploatację. Znaczący to, że wykorzystywanie bogactw naturalnych odbywa się bez mar-notrawstwa i bez nadużytk. Historycy XXI wieku studiujący maltuzjanizm będą dziwić się, że w połowie dwudziestego wieku zdarzali się uczeni, którzy usiłowali zakreślić granice przyszłego postępu ludzkości na podstawie tak zwanego naturalnego prawa, które istniało tylko w ich wyobraźni.

WIDZ

Notatnik F.I.L.M.O.W.V

„Trzy przegrane” — oto tytuł nowego filmu fabularnego, do którego zdjęcia kręcono w Łodzi, Warszawie, Bielsku, Świdnicy, Wałbrzychu, Nowej Hucie oraz na szosach Dolnego Śląska. Temat — sportowy, rzecz dzieje się w środowisku pływaków, kolarzy i bokserów. „Trzy przegrane” kreśli trzech młodych reżyserów, absolwentów szkoły filmowej. Opiekują się nimi A. Bohdziewicz. Film wejdzie na ekrany prawdopodobnie w połowie lata br.

*

„W Rzymie” — pod tym tytułem radzieccy twórcy filmów dokumentalnych zrealizowali film, zapoznający widza z pamiątkami przeszłości „wiecznego miasta”.

*

Filmowcy NRD kręcą m. in. komedie pt. „Dziwcy wie-czór”, której akcja rozgrywa się w roku 1849 i przedstawia historię młodej pary — Adeli Peroni i literata Brennglassa.

„Wolna trybuna” w sprawie pomnika Mickiewicza

Rekonstruować — ale jak?

Jan Mroziński

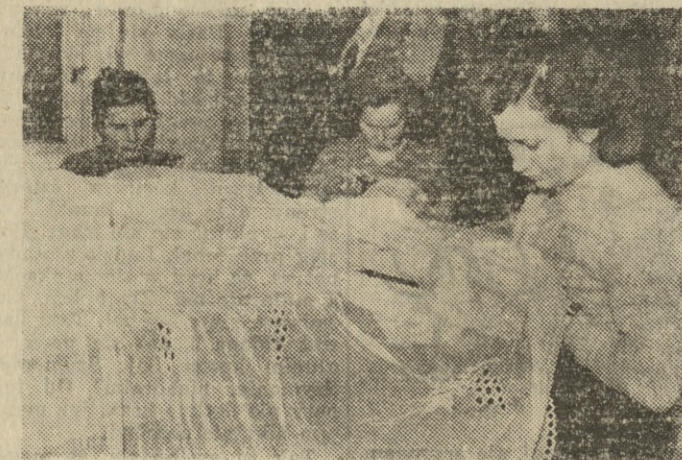
wprawdzie, ale do wst murowa nej, radiofonizowanej i zelej:



Projekt na pomnik Mickiewicza rzeźbiarza krakowskiego Antoniego Kurzawy. Mickiewicz budzi skrzydlatego geniusza poezji i posyła go w świat.

tryfikowane — dotarły również do rąk robotnika w fabryce. Dzisiejszy Mickiewicz, to już nie tylko — jak za czasów Oleszczyńskiego — romantyczny poeta, twórca „Ballad i Romanów”, „Konrada Wallenroda”, „Dziadów” i „Pana Tadeusza”, ale także redaktor „Trybuny Ludów”, wielki plemienny duch, rewolucjonista. Każda epoka ma swój styl, swój swoisty wyraz w dziełach sztuki, odpowiadający danym stosunkom polityczno-społecznym.

I o takim charakterze najbardziej współczesny posąg wieszczki powinien stać w Poznaniu na odpowiednim, reprezentacyjnym placu.



Wzory hafciarskie z czepcy ludowych zdobić mogą i firany tiulowe.

skie, niemniej piękne, godne świat narodowych, wieczornic i popisów artystycznych.

No, dobrze, ale skąd wziąć ten strój? — spyta ktoś.

Nie ma już kłopotu. Przed paroma miesiącami w Poznaniu powstała specjalna spółdzielnia pracy „Regionalna” pod nadzorem CPLA. Właśnie jej zadaniem jest: dostarczanie zespołom strojów ludowych, w doborze materiału, kolorów i kroju jak najbliższych autentycznym. Przeszło 80 pracowników tej spółdzielni pracuje nad kaftanami, katanami, kamizelkami, czy czepkami. Na zdjęciu jedna z nich — Wanda Rębiewicz — „montuje” kaftan szamotulski. Gotowy będzie tak wyglądał jak ten ze srebrzystymi guzikami, który wisi obok stołu krawieckiego. Przy nim czerwona „jaka”. Do tego liniana koszula, półkoszulek, kamizelka, białe spodnie, wysokie buty tzw. kropowe — i teraz w tym kcm plecie można zaprosić szamotu lankę do tańca na scenie.

Tak ubierali się mieszkańcy okolic Szamotuł przed latami. Nie tylko Szamotuł. Mgr Adam Glapa na podsta-

Na „warsztacie” strój szamotulski.



NA ŁÓW, NA ŁÓW TOWARZYSZU MÓJ!



Najstarszy członek koła, Andrzejewski i wytrawny myśliwy Nowak wspinają się na łowieckich sukcesach. Obydwaj zastrzelili po dwa zające jednym strzałem. Jest to wyczyn, nie często spotykany w myśliwskim gronie.

Szare niebo powleczone chmurami zapowiadało dzień mroźny, bezsoneczny. Od wsi szedł przeciągły ryk krów oczekujących na jadło. Na polach cisza leżała niedzielną. Ludzie jeszcze spali.

W uspijony ranek wtargnął nagle warkot samochodu. Kierowca trąbiąc donośnie przeleciał wprost nad nimi i stanął na jej krańcu. Z ciężarówki wysypali się ludzie. Poubierani cu dacznie wyglądali jak partyzanci. Buty długie, papachy na głowie, wszyscy uzbrojeni w fuzje. Przez wieś kroczyli ku nim starszy, przysadzisty chłop, kiwając z dalka ręką.

— Zaraz idziemy — krzyknął, a przysiadając przy jednej i drugiej chałupie, wołał — Józek, Stachu, dalej chłopcy! Myśliwi już są.

Młodzież Kazimierza zawsze chętnie pomaga robotnikom poznańskich Zakładów im. Józefa Stalina w organizowaniu łowów. Toteż nie upłynęło kilka minut, a naganiacze uzbrojeni w kije, puszy

ki i pokrywki, przyłączyli się do grupy myśliwych. Rozpoczęło polowanie.

Stanowiska wyznaczał łowczy koła Władysław Twardowski, technik Oddziału W-7. Energetyczny i wesoły, o dużym zmyśle organizacyjnym, wnet sobie zaskarbił szacunek i przyjaźń wszystkich członków Koła Łowieckiego przy ZISPO. Słuchając go starsi i młodsi, wiedząc, że dyscyplina jest pierwszym warunkiem udanego polowania, szybko i sprawnie każdy zajmował wyznaczone mu miejsce. Zaległa cisza.

Rozstawieni długim szeregiem na przestrzeni kilkuset metrów olbrzymiego pola, myśliwi wyglądali z daleka jak samotne pnie drzew, pozabawione konarów. Wrosli w krajobraz szarych, przyprószonych śniegiem pól. Naprzeciw nich, gdzieś daleko spod lasu, szła nagonka. Ludzi nie było jeszcze widać, tylko pogłos niosł się stamtąd, pełen niespotykanych dźwięków.

Na pustym dotychczas kar tofisku zaczęły się nagle ukazywać skaczące punkciaki. Przybliżały się coraz bardziej ku myśliwym. Już teraz z łatwością rozróżniało się mknące jak wiatr zające. Niektóre z nich przystawały na chwilę i strzyżąc śmiesznie długimi uszami rozglądały się dookoła.

— A hej! A hej! — pokrzykiwali naganiacze i zające pe

dziły dalej, prosto na linie wyczekujących w milczeniu myśliwych. Zrazu pojedynczo, potem już coraz gęściej padały strzały.

Po trzeciej nagonce, łowczy zarządził śniadanie. Upolowano około setki zajęcy. Można było trochę odpocząć. Myśliwi i naganiacze, radzi z udanego łowu, gawędzili z sobą wesoło. Sympały się do wciopy i myśliwskie przygaduszki.

— Coś nam, towarzyszu, to strzelanie nie wychodzi. Wy dopiero jednego, ja dwa — zagadnął Zygmunt Gierwazik, przewodnik pracy z W-9 dyrektora ZISPO, Siwińskiego.

— Bo też nie o samo strzelanie tu idzie — wymawiał się Siwiński. — Chodzi o sport, o zdrowie. Powiedzieć, czy wam przez cały tydzień robota nie układa się lepiej, kiedy niedzielę na świeżym powietrzu spędzicie?

— Racja i nie racja — wtrącił Nowak, magazynier z fabryki wagonów. — Jakby nam tylko o powietrze chodziło, zapisalibyśmy się do PTT-K i chodzili na niedzielne marsze zamiast na polowanie. Polowanie, to nie tylko sport. Lubią za granicą nasze zające i sarny. I czemu nie, my też lubimy.

— Jasne, że lubimy, jak jeszcze — roześmiał się najmłodszy myśliwy, ślusarz z W-3, ZMP-owiec Dorna —

Stanowiska wyznacza łowczy koła Władysław Twardowski

tylko musimy się od działka nauczyć lepiej strzelać.

Najstarszy członek koła — Andrzejewski, zwany dziadkiem, uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Bośmy to kiedyś dawniej polowali? — wtrącił Czesław Wojtkowiak, ślusarz z W-3. — Widziałem wprawdzie czasem polowanie na majątku, gdzie pracowałem. Nigdy bym wtedy nie przypuszczał, że sam będę kiedyś myśliwym....

Prezes koła Antoni Cybulski, inżynier z W-2, przerwał miłą pogawędkę.

— No, dalej chłopcy! Do roboty! Ostatnie polowanie na zające w tym sezonie. Nie możemy tracić czasu.

Łowczy Twardowski raz dwa rozdzielił stanowiska i myśliwi długim szeregiem ruszyli w pole.

I znowu poprzez kartoflisko i zaorany ugor leciały głosy nagonki i miarowy odgłos strzałów. Zdziwione wrony siadały na pobliskich drzewach i swym przeciągłym krakaniem uzupełniały ten zimowy koncert pól. Szare niebo zapowiadało bliski zmierzch.

Polowanie udało się znakomicie. 200 zajęcy, to około 650 kg smacznego mięsa, 200 pięknych skórek — nie licząc myśliwskich ambiej i przyjemności pożytecznie spędzonego dnia.

Nic dziwnego, że ciężarówka wioząca do domu myśliwych i zwierzyne, rozbrzmiewała wesołą piosenką:

Pojedziemy na łów, na łów, towarzyszu mój!
Na łów, na łów, na łów,
Do zielonej dąbrowy,
Hej, towarzyszu mój!

ZOFIA ANDRZEJEWSKA

Uwaga! Wylączamy serce!

Na taśmie aparatu krzywa oddech stopniowo zbliża się do zera. Pies znajduje się w stanie uspienia znacznie głębszego niż sen narkotyczny: zwolnione krążenie krwi, puls — około 40 na minutę. Ten „letargiczny“ sen nastąpił pod wpływem stopniowego ochładzania organizmu. Od przeszło dwóch godzin zwierzę leży szczerze zawinięte w podwójny „plaszcz“ w którym krąży mieszanina oziębiająca.

— Temperatura 22 stopnie — stwierdza laborantka, włączając aparat do sztucznego oddychania. Plaszcz chłodzący nie jest już potrzebny. Pies będzie spał przez kilka godzin — do chwili, kiedy temperatura jego ciała nie wróci do normalnej. Pierwsze stadium doświadczenia zostało już dokonane, można przystąpić do operacji.

Nawet 15 minut

Po otwarciu klatki piersiowej i przewiązaniu naczyń krwionośnych następuje moment kulminacyjny — „wylączenie serca“. Chirurg zaciska główne żyły i tętnice prowadzące do serca; krążenie krwi ustaje. Teraz następuje otwarcie worka sercowego, oględziny zastawek sercowych. Mija pięć minut, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia. Rzecz zadziwiająca — pies jeszcze ciągle żyje! A przecież po ustaniu krążenia krwi żadne zwierzę nie utrzymuje się przy życiu dłużej niż 5 minut.

Po 25 minutach chirurg nakłada szwy na worek sercowy, zdejmując pinety zaciskające żyły. Krew chlusnęła potokiem do serca. Na taśmie aparatu podnosi się coraz wyżej krzywa pulsu. Operację można uważać za skończoną. Pacjenta znów szczer nie owija się w plaszcz, w którym krąży obecnie nie mieszanina oziębiająca, lecz gorąca woda. Po dwóch godzinach temperatura ciała wraca do normy. A nazajutrz pies z apetytem przyjmie pokarmy, biega i szceka, jak gdyby nic nie zaszło.

Podstawowa tru'ność chirurga

Od wielu lat uczeni oraz lekarze-praktycy zastanawiali się, jak można by osiągnąć taki stan organizmu ludzkiego, przy którym brak tlenu nie pociągałoby za sobą niemal bezzwłocznie śmierci. Możliwość wylączenia krwioobiegu choć na 10—15 minut pozwoliłaby na przeprowadzanie skomplikowanych operacji mózgu, serca i naczyń krwionośnych. Czy obecnie nie wylacza się krwioobiegu? Owszem, robi się to w wyjątkowych wypadkach przy niektórych ciężkich operacjach, ale zaledwie na kilka sekund. I nawet ten krótkotrwały zabieg połączony jest z wielkim ryzykiem. Ciężkie komplikacje, a czasem i śmierć chorego podczas operacji, następują najczęściej w wyniku niedostatecznego dopływu tlenu do tkanek, na skutek zakłócenia procesu krążenia krwi i oddychania.

Od czego zależy zużycie tlenu przez organizm? Od intensywności funkcji organizmu. Im intensywniej pracuje mózg ludzki i tkanki nerwowe, tym więcej zużywa one energii. W chwilach podniecenia, w chwilach intensywnej pracy komórek tkanek nerwowych czy mięsnych przemiana materii jest żywsza, tkanki wymagają więcej tlenu. Naj

mniej zużywają one tlenu podczas głębokiego snu. Stąd wniosek, że poszukiwania uczonych winny iść w kierunku znalezienia środka wywołującego szczególnie głęboki sen. Zdawałoby się, że można się tu uciec do stosowania narkotyków. Niestety, przy ogólnej narkozie nie można wstrzymać krwioobiegu na czas dłuższy niż pięć minut.

I tu uwagę uczonych zwróciło na siebie zjawisko, występujące w świecie zwierzęcym. Znamy przysłówie:

„Śpi jak suse!“

Bo właśnie susły, niedźwiedzie w swych matecznikach i inne zwierzęta zapadają w sen zimowy. Jest to szczególnie stan fizjologiczny organizmu: pod wpływem stopniowego oziębienia ciała, funkcje życiowe organizmu zmniejszają się do tego stopnia, że jego zapotrzebowanie na substancje odżywcze oraz na tlen redukuje się do minimum.

Zjawisko snu zimowego od kilkadziesiąt lat absorbuje wielu uczonych. W końcu XIX wieku biolog rosyjski — Bachmietiew, po raz pierwszy przeprowadził z dobrym wynikiem doświadczenia w dziedzinie sztucznego ochładzania zwierząt ciepłokrwistych. Próbowano leczyć zimnem choroby skórne i inne, jednakże metodyka takiej terapii nie była dostatecznie opracowana. W ciągu ostatnich lat terapeutyczne stosowanie zimna — tzw. hypotermia — wywołało wśród uczonych radzieckich nową falę zainteresowania w związku z próbami ogólnego ochładzania ciała przy trudnych zabiegach chirurgicznych. Doświadczenia w tej dziedzinie prowadzone są w laboratoriach fizjologii eksperymentalnej prof. Niegowskiego. Zajmują się nimi chirurdzy: Riniński i Rjabow pod kierownictwem prezydenta Akademii Nauk Medycznych ZSRR — prof. Bakulewa oraz prof. Mielczakina.

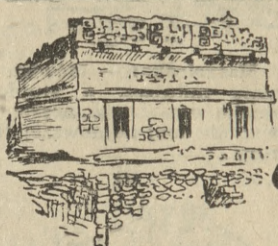
Wielkie perspektywy

Doświadczenia dały ciekawe wyniki: udało się całkowicie wylączyć krążenie krwi u operowanych psów na 25 minut, po czym następowało całkowite przywrócenie funkcji krążenia krwi. Ten pomyślny wynik operacji otwiera przed chirurgami rozległe perspektywy. Staje się bowiem możliwe przeprowadzanie wielu skomplikowanych operacji, o których przedtem nie można było nawet marzyć.

Chirurg będzie mógł na własne oczy ujrzeć wrodzone wady serca, których obecnie może się tylko domyślać. Usunięcie tych wad nie będzie już wówczas rzeczą trudną. Będzie można również zastąpić zwyrodniałe zastawki sercowe nowymi — sztucznymi. Będzie wreszcie można operować naczynia wieńcowe. W ten sposób liczne choroby (wady zastawkowe serca, miażdżycza na czyn wieńcowych i in.) staną się uleczalne.

P. S.: Jak już donosiliśmy, w Poznaniu dokonano już pierwszych próbnych zabiegów chirurgicznych, gdzie wprowadzano organizm człowieka w „sen zimowy“ — oczywiście sztucznie. Celem doświadczeń jest oczywiście doprowadzenie techniki operacyjnej do takich wyników, jakie dotąd eksperymentalnie uzyskuje się na zwierzętach.

Czesław Wojtkowiak, ślusarz z W-8, to dobry myśliwy: ani razu nie pudłuje. Tak jak w warsztacie: nie wypuszcza braków...



NA TROPACH KULTURY Mayów

W pierwszych wiekach naszej ery Ameryka Środkowa była zamieszkała przez Indian — Mayów, których potomkami są obecni mieszkańcy Gwatemali, prowadzący walkę wyzwolenczą z nowoczesnymi konkwestadorami spod znaku dolara. Przodkowie tych dzielnych mieszkańców tworzyli niegdyś olbrzymie państwo, obejmujące swym zasięgiem Meksyk południowy i republikę Gwatemalę (z wyjątkiem półwyspu północnego), dalej: Honduras brytyjski oraz zachodnią część republiki Honduras. Dawni Mayowie budowali dwukrotnie swą państwowość: raz w latach od 320 do 987 naszej ery i drugi raz — od roku 987 do 1546 naszej ery.

Od kacyka do niewolnika

W okresie pierwszego państwa Mayów społeczeństwo dzieliło się na cztery klasy. Przewodząca warstwa możnych, nazwana przez hiszpańskich zdobywców kacykami. Następna klasa stanowiąli kapłani, zajmujący się nie tylko sprawami kultu religijnego, lecz również astronomią i prowadzeniem kronik. Dalej istniała ogromna rzesza ludu robotniczego w miastach i na wsi, a wreszcie — klasa niewolnicza, obejmująca jeńców wojennych oraz wziętników.

Życie Mayów było bardzo proste. Wstawano niezwykłe wcześnie, a pracą trudniły się kobiety na równi z mężami.

czyznami — i to przeważnie zespołowo. Najgłówniejszymi roślinami uprawnymi były: kukurydza i kakao. Poza tym zajmowano się myślistwem, przy czym głównym zwierzęciem łownym był jelen — pekar, chwytywany w sidła bądź goniony psami. Sztukę władania oszczepem i łukiem przyswoili sobie Mayowie stosunkowo późno. Nie znali np. zupełnie obróbki metali. Ze szczególnym zapałem hodowali psy — z nich jedna odmiana służyła im do polowania, a druga, bezwosła i pozbawiona głosu, utrzymywana była wyłącznie do walki. Kobiety pokrywały swe ciała wielobarwnymi farbami, a wojownicy malowali sobie na kolor czerwono-czarny. Młodzież używała wyłącznie koloru czarnego, a kapłani — niebieskiego.

W ruinach miast dawnych Mayów odkryto bardzo wiele placów do gry w piłkę i należy przyjąć, że zabawy tego typu były częścią obrządków religijnych. Naród ten posiadał również znajomość astronomii i to z wyjątkową dokładnością. Posługiwano się jednakże nie systemem dziesiętnym, lecz systemem dwudziestym cyfr. Odkryto również dawny kalendarz księżycowy, ujęty w 405 zmian księżycowych, które obejmowały łącznie 11.960 dni.

Trzy tajemnicze rękopisy

Mayowie posiadali znakomicie rozwiniętą sztukę budowniczą. W podzwrotnikowo

wych dżunglach odkryto ruiny wielkich miast z pozostałościami piramid, a wielka ilość pataców i świątyń zdobiła każde miasto. Odkryte niedawno freski na ruinach wskazują, że Mayowie znali zasady perspektwy, a sztuka malarstwa była u nich wysoko rozwinięta. Niestety, jedynie trzy rękopisy zachowały się do naszych czasów. Nie udało się uczonym ich rozszyfrować. Jeden z najznakomitszych specjalistów w tej dziedzinie — P. Schellhaus, który poświęcił 50 lat swego życia badaniu hieroglifów Mayów, dał ostatnio za wygraną, oświadczając, że stanął przed trudnością nie do rozwiązania.

I oto nadchodzi sensacja na wiadomość...

Klucz do tajemnicy

J. W. Knorosow, młody pracownik naukowy Instytutu Etnografii przy Akademii Nauk ZSRR, od dawna interesujący się hieroglifami Indian — Mayów, doszedł do zasadniczego wniosku, że w swej budowie pismo Mayów nie różni się specjalnie od hieroglifów egipskich bądź pisma chińskiego. Po żmudnej pracy młody etnograf radziecki stwierdził, że zachowane za bytki pisane stanowią pewnego rodzaju almanach, zawierający tekst kalendarza



Posąg boga wiatrów pokryty hieroglifami, znaleziony w Gwatemali.

wy, łącznie z krótkimi uwagami na temat miesięcy, dni oraz terminów związanych z nadejściem pory deszczowej i suszy.

Największą zasługą w odkrywaniu studiach Knorosowa jest fakt przygotowywania przez niego monografii pisma Mayów ze słownikiem i prawidłami gramatycznymi języka dawnych Indian. Ponieważ szereg ekspedycji naukowych nadal bada puszczę Ameryki Środkowej w poszukiwaniu śladów dawnej kultury mieszkańców tych obszarów, i to z bardzo pomyślnymi rezultatami, więc należy się spodziewać, że doniesie o kryciu radzieckiego etnografa dostarczą właściwego klucza, który przyczyni się do odsłonięcia resztek tajemnic wielkiego ludu.

Opł. J. Makowski



JASKI I KLUB PRAC. KULTURY

Odpuść mu, Boże, ciężki grzech —
w JASKI-nie nudy wpuścił śmiech!

DEGLER

Może jakiś pomysł świeży?
Bo zbyt długo nam DEG-leży...

MIK

Małą prośbę mam do MIKa —
chwytaj bicza, nie patyka!

OFIERSKI

To satyryk bardzo wzięty —
już od wszystkich wziął pointy!...

PALUSZKIEWICZ

Paluszki (ewież) em nie kiwaj w bucie!
Lecz trzymaj talent, aby nie ucieki.

NOWAK

Źle, lub gorzej — tak, czy owak,
ale nowy nie jest Nowak!

PODLEWSKI I WERONICZAK

Rymy tworzą ramię w ramię
letnią wodą PODLEwane.

W. SCISŁOWSKI

Z nazwiska wynika ściśle,
że znów fraszkę w(ś)ciśnie.

ŚCIPIŃSKI

O sobie fraszkę kaniem puszcze,
nie zasłużyłem na pointę!
Nie lubię się przegłądać w lustrze,
kiedy pęknięte...

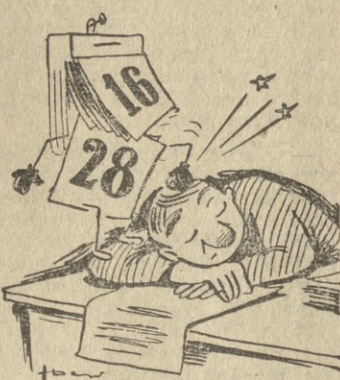
L. W. ŚCIPIŃSKI

Przygoda kosza do odpadków

Miałem 80 cm wzrostu i
wisiłem umocowany
przy słupie na dworcu
kolejki podziemnej w
zachodnim Berlinie.

Był wieczór. Dworzec pusto
szął, gdy wtępnie weszło na peron
trzech Amis, których no-
gi ugięły się tak, jakby były
z gumy. Jeden siadł na mnie
całym swym sporym cięża-
rem. Nie wytrzymałem tego i
stało się: runęliśmy obaj na

Niektóre zarządy
powiatowe mimo zbli-
żającego się dnia II
Zjazdu ZMP nie prze-
jawiają większej ak-
tywności.



— Hej, aktywisto, zbudźcie
się! Pozostało niewiele cza-
su!...

TRZY HISTORYJKI NA OPAK



Neron: — Psiakość, ten księ-
życ nie z tej strony świeci.
Przesunąć go bardziej na le-
wo!...

ziemię. Przyklapnąłem porząd-
nie, nie ma co. Nie koniec na
tym: grubas wziął mnie pod
pachę, namówił kolegów po
kielichu, by iść jeszcze na
wódkę i wyniósł mnie z dwor-
ca.

Tak oto po wielu latach o-
puściłem moje dotychczasowe
schronienie i znalazłem się na
wielkiej ulicy. Uszliśmy może
paręset metrów, gdy Yankes
uronił mnie na ziemię. To sta-
ło się początkiem zabawy, w
której odgrywałem rolę piłki
nożnej. Latałem w powietrzu
po całej jezdni, a ponieważ
zbudowany jestem z azurowej
siatki drucianej, więc szybko
uległem deformacji. W pew-
nej chwili celne kopnięcie
„prawoskrzydłowego” rzuciło
mnie pod koła nadjeżdżające-
go samochodu. Uff, ten mnie
dopiero urządził! Potoczyłem
się do skraju jezdni i ległem.

Rankiem następnego dnia
podniósł mnie jakiś przecho-
dzień, człowiek o bardzo sym-
patycznym wyglądzie i zabrał
do domu. Już u progu pokoju
zorientowałem się, że znalaz-
łem się w pracowni artysty.
Ciekawe kompozycje w glinie,
interesujące odlewy głów w
brazie, figurynki, prawdziwe
cacka — zdradzały rękę dobre-
go rzeźbiarza. Zapewne nie
wiodło mu się najlepiej; wy-
wnioskowałem to z jego roz-
mów z gospodynią na temat
kolacji.

Spocząłem spokojnie za ko-
tarą. Intrygowało mnie tylko
zachowanie mojego przemile-
go pana. Siadał często na tap-
czanie i przyglądał się mnie
uparcie, a dziwny uśmiešek
błąkał mu się na ustach. Kop-
nięcie mnie, czy nie?

Któregoś dnia odwiedziła
nas przystojna i młoda kobie-
ta. Mój pan powitał ją inaczej



Marysielka: — Mówisz, że
mnie miłujesz, a głupiego
zamku nie chcesz przebudować
dla mej najnowszej fry-
zury...



Pracownicy protezowni przy
ul. Działowej 11 w Poznaniu:
— Nie pasuje? Nic się pan
nie martw, my już dopasuje-
my pańską szczękę do naszej
protezy!...

Jaka jest różnica między
trzecią historyjką a dwiema
poprzednimi? Taka, że w od-
różnieniu od tamtych jest ona,
niestety, prawdziwa.

Rys.: H. DERWICH
Tekst: GNOM

niż innych, którzy go odwie-
dzali: jakoś czulej i miłej.
— Widzisz, oto moja idea!
— I tu wskazał na mnie.
— A wiesz — odrzekło u-
rocze zjawisko — pyszny po-
mysł.

Umieszczono mnie na coko-
le obciążonym czarnym ak-
samitem. Nade mną szklany
dach rzuca mleczno - mdławą
poświatę. Wokół mnie kręci
się pełno różnych typów.
„Wspaniała kompozycja!”
„Dziś wręcz urzekająco!”
„Wyszukane tworzywo arty-
styczne!” — słyszę stale od po-
ludnia do wieczora.

Wczoraj na przykład jakaś
grubaśnica w szynszylach,
spojrzawszy na mnie przez w-
złoto opalone szkła, rzekła:
„Prawdziwie amerykański
twór, głębia linii, działanie
bryły wprost genialne. Tu wi-
dać rękę wielkiego artysty.”
„Ze twórcy amerykańskiego, to
ma baba rację — pomyślałem
przypominając sobie przygo-

— Kid, popatrz, jak się fa-
cet zmienił po śmierci...

dę na jezdni. — Tylko z tą
ręką — to się coś nie zgadza.
Ale nie odzywałem się. Po co
psuć humor tym miłym lu-
dziom, którzy zawiesili na
mnie kartkę „Sprzedano do
USA”? (thn)

JANUSZ WASYLKOWSKI



Jak wieść niesie
w pewnym lesie
zwierzęta
żyły życiem zwierzęcym w dniu powszednim i świętym.

A wśród ich grona
żył stary, siwy wilk, bez ucha i ogona,
które stracił podczas bójk w młodości,
gdy znany był ze swej niezwykłej dzikości.
Lecz, że normalną losu koleją
wilki, jak ludzie, także się starzeją —
stary rozbójnik z biegiem lat
opadł na siłach, na wadze spadł
i z każdym dniem mniej mięsa jadł,
gdyż starcze nogi nie były już w stanie
nawet owcę dogonić na drugie śniadanie.
Wilk ujrzawszy przed sobą blade widmo śmierci
(głód mu bowiem żołądek jął usilnie wiercić)
w fortelu widział jedyną możliwość ratunku...
I dlatego to po kilku dniach różnego gatunku
zwierzęta

zauważyły ze zdziwieniem,
że wilk po lesie się pęta
zajmując się trawą jedzeniem!
I wnet po lesie wieść się rozniosła,
że z wilka stał się jarosz albo kawał osła.

Mijały dni.
Wilk jak gdyby wcale nie obchodził świat,
wciąż tylko trawę jadł.

Wkrótce doszło do tego,
że owce się spokojnie pasły obok niego.
Gdy minęło w ten sposób tygodni kilka
co śmielsza owca naśmiewała się z wilka —
ale do czasu.

Znalazłszy się raz bowiem na skraju lasu
w samym środku ogromnego owiec stada
wilk mruknął do siebie: ot, grata nie
i jak nie skoczy na lewo i prawo,
i jak nie zacznie ze zbrojką wprawą...

Co wilk uczynił na pewno już wiecie,
gdyż tak zazwyczaj się zdarza na świecie,
że wilki zawsze wilkami zostają,
choćby dla pucu żywiły się trawą...
A zbyt wielka pewność bezpieczeństwa, czytelnicy lubi,
nie tylko w bajce niejednego gubi.

Fraszki

Kłamca

„Żadne kłamstwo przez usta mi
nie przeszło” — twierdził na
głos
I rację miał, gdyż miast ustami
Mówił przez nos...

K. DOBERSCHÜTZ

Ciche życzenie

Film dokumentalny oglądał-
bym chętnie,
lecz CWF go chowa bardzo do-
kumentnie.

W. SCISŁOWSKI

Na „współczesnego” literata

Tysiąc lat wobec wieczności
to przecież pestka! —
napisał więc powieść współ-
czesną
z czasów — I Mieszka.

J. KSIĘSKI

A TO CO

Popatrz uważnie na zdjęcie i zgadnij, co to jest:



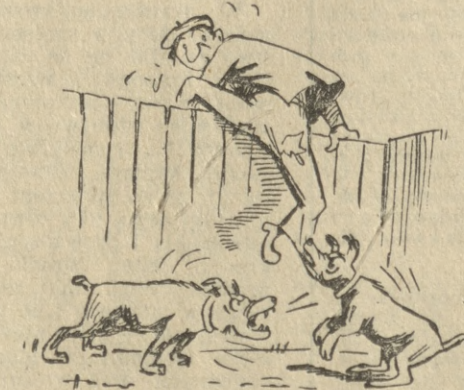
- A) wykopaliska prehistoryczne w Gieczu?
- B) wydobywanie lodu w górnym biegu Prosnego?
- C) budowa nowoczesnego kina na Wildzie?

niestety ich tajemnicą.
noczenia Budowlanego. Dlaczego? — to już jest
brańców z Poznańskiego Przemysłowego Zjed-
rzy kilka dni temu ją zafotografował — mianowicie —
oaki w Poznaniu. Papę zdzierając ci sami, kto-
nu Technikum Budowlanego (!) przy ulicy Ry-
ranie podwójnej warstwy papy z dachu magazy-
Odpowiedź: Zdjęcie przedstawia zdie-

UWAGA, CZYTELNICY! Zwracamy się do Was z ape-
lem o współpracę. Piszcie do naszej rubryki „A to co?”,
podając miejsce takich i podobnych okazji, a jeżeli
uchwycicie je na błonie fotograficznej — przyslijcie zdję-
cie. Za najlepsze materiały autorzy otrzymają specjalną
nagrodę



— Pan twierdzi, że tutaj
nie ma węgla dla mnie?...



PIES-BIUROKRATA
— Puść go natychmiast! To nie twoje
podwórko!...



Przed otwarciem
Okrągłaka
— Mój drogi, to w ramach usług
ubocznych, szkoda tylko, że tak późno...